

Judyta Rykaszewska

*Powroty*

Dźwięk zamykanych drzwi przeciął panującą ciszę.

Wyciągnęłam klucz z zamka, wsunęłam do kieszeni i poprawiłam płaszcz. Zrezygnowałam z często psującej się windy i skierowałam się na schody. Zejście z dziewiątego piętra trwa dłuższą chwilę, ale szczęśliwie dzisiaj nigdzie się nie spieszyłam.

Powietrze było chłodne jak przystało na pierwsze tygodnie listopada. Odgarnęłam grzywkę, która opadła mi na oczy i powolnym krokiem ruszyłam w stronę pobliskiego parku. Znaczna część liści już spadła na ziemię, tworząc przyjemnie szeleszczącą ścieżkę. Drzewa osłaniały mnie od wiatru, więc przysiadłam na ławce, która lata świetności miała już za sobą - drewno przebijało się przez popękana zieloną farbę, a jedna z dwóch desek, które służyły za oparcie, pewnie pomogła ogrzać się wieczorem komuś bez dachu nad głową. Melancholia unosiła się w powietrzu i była jedynym powodem, dla którego nie lubiłam jesieni.

Nagle tuż przede mną przebiegła wiewiórka. Rudy gryzoń czmychnął na drzewo, chroniąc się przed czarnym, ujadającym labradorem. Chwilę później zza drzew wybiegł jego zmachany pan. Mężczyzna przywiązał smycz do obroży czworonoga i ciągnąc uparcie szczekające zwierzę za sobą, podszedł do roześmianej kobiety, która pojawiła się na ścieżce. Ujął ją pod rękę i poszli przed siebie. Pies wesoło biegał dookoła, a liście szumiały pod ich nogami.

On też lubił wysokie psy. Może... może to bylibyśmy my? Gdyby tylko to było możliwe, a on tak po prostu nie zniknął...

Podniosłam się i chcąc pozbyć się niechcianych myśli, skupiłam się na tym, co mnie otaczało. Wiewiórka i para z psem zniknęły, a ja odniosłam wrażenie, że znów jestem sama. Zresztą to był fakt – od siedmiu lat mieszkam sama. Sądziłam, że do tego przywyknę, ale to chyba niemożliwe. Kiedyś myślałam nad zwierzakiem, ale różne godziny pracy i dość częste delegacje nie sprzyjały posiadaniu pupila. A przecież ja nawet paprotki nie umiałam utrzymać zielonej.

Zanim się zorientowałam, wyszłam z parku. Na jego skraju znajdowała się mała kawiarenka, gdzie sprzedawali pyszną gorącą czekoladę. Słońce wyszło zza chmur i odbijało się od szyb tworzących witrynę lokalu. Dźwięk dzwonka oznajmił sprzedającej moje wejście. Klientów nie było, a przy ladzie stała moja dobra przyjaciółka.

- Krystian się odzywał? – spytała, podając mi moje zamówienie.

Spojrzałam na nią, popijając łyk gorącej czekolady. Poznałam Agnieszkę dziewięć lat temu, gdy mój brat mi ją przedstawił. Byli parą przez dwa lata, a

później nagle postanowił wyjechać. A dokładniej polecieć. I to na Wyspy Brytyjskie. Tę decyzję podjął w ciągu kilku minut. I zerwał wszystkie kontakty. Nie tylko z dziewczyną, ale i z własną siostrą – jedyną rodziną, którą miał. Agnieszka od siedmiu lat przynajmniej raz w miesiącu zadaje mi to pytanie. A ja jak zwykle kręcę przecząco głową.

Porozmawiałyśmy jeszcze przez chwilę i wyszłam z lokalu. Usiadłam przy stoliku na zewnątrz. Naprzeciw mnie stał identyczny okrągły stół z dwoma krzesłami. Dwadzieścia lat temu stały tam trzy krzesła, a w każdą środę po południu siadała tam matka z dwojgiem dzieci. Były to bliźnięta, chłopiec i dziewczynka. Gdy miały siedem lat, matka przyprowadzała je coraz rzadziej, a rok później rodzina przestała przychodzić. Bliźnięta usiadły na swoich miejscach po dziesięciu latach same, bez matki. Do dziś nie byłam w stanie usiąść sama przy tym stoliku. Nie mogłam znieść świadomości, że dwa krzesła obok mnie zapełniłaby moja wyobraźnia. Na jednym usiadłby brat, którego od lat nie widziałam, a na drugim matka, która zmarła na raka, gdy byliśmy zbyt mali, by w pełni pojąć, że tak naprawdę już nie wróci. Dopiłam czekoladę i ruszyłam pieszo do centrum miasta.

Po drodze mijałam starą przychodnię. Krzyki za rogiem tego niebieskiego budynku przykuły moją uwagę. Zainteresowana zwolniłam kroku.

- Dwadzieścia lat temu! – krzyczała starsza pani o pomarszczonej twarzy – zdradziłeś mnie z nią dwadzieścia lat temu!

Oparty na lasce dziadek stał obok z zawieszoną głową. Minęłam ich, a krzyki babci niosły się po ulicy. Wiele w nich było żalu i smutku, podnosząc głos, ukrywała ból. To musi być coś strasznego – po tylu latach stracić zaufanie do bliskiej ci osoby.

Może tak było z moim ojcem? Może stracił zaufanie mojej mamy i pozwolił jej odejść? Nikt nigdy ani mnie ani mojemu bratu o nim nie opowiadał. Gdy mama żyła, byliśmy zbyt mali, by spytać „Gdzie jest tato?”. A kiedy zmarła i wylądowaliśmy u prababci, ona nie umiała nam nic o nim powiedzieć. Ojciec nie zostawił nam nic – wspomnień, zdjęcia, nawet nazwiska. Nic poza błękitnym kolorem oczu.

Ocknęłam się z tych przemyśleń na dworcu PKS. To miejsce pełne wspomnień – to tu po raz ostatni widziałam mamę, gdy wsadzała mnie i brata do autobusu, który zawiózł nas do prababci. Stała tu gdzie ja, jej jeszcze długie włosy rozwiewał wiatr, a ona machała nam na pożegnanie. I w tym samym miejscu parę lat temu stanęłam ja i z tym samym wiatrem we włosach machałam mojemu bratu, gdy wsiadał do busa, który zawiózł go na lotnisko. I tak jak tamtego dnia słońce schowało się za chmurami, a lodowaty wiatr poplątał mi włosy. Owionęłam się mocniej szalikiem i ruszyłam przed siebie.

Szłam przez miasto. Minęłam rynek i na chwilę wstąpiłam do sklepu. Z ciepłą bułką i herbatą pokrażyłam trochę po starówce. Przynajmniej tu było ciepło. Znalazłam zieloną kamienicę i weszłam do środka. Wspięłam się na najwyższe piętro, opuściłam znajdującą się w suficie pokrywę i podciągnęłam do góry. Stałam na dachu jednej z kamienic. Wyjście ochraniał jeden z kominów, więc było tu ciepło. Zamknęłam włącz za sobą i oparłam się o komin.

Byłam tutaj kiedyś. Przyprowadził mnie przyjaciel z dzieciństwa, gdy wraz z bratem rozpoczęliśmy studia. Byliśmy tu tylko we dwoje, oparci o ciepły komin oglądaliśmy gwiazdy. Noc była czysta i ciepła. A my coraz bardziej w sobie zakochani. To była noc przed jego kolejnym wyjazdem. Tylko że tym razem zabrał ze sobą mojego brata.

Chciałam go nienawidzić za to, co zrobił, za odebranie jedynej rodziny, za powiedzenie „kocham” i zniknięcie następnego dnia. Za to, że potrzebowałam długich miesięcy, aby pozbierać się po tym dniu. Ale nawet po tylu latach nie potrafię go nienawidzić. Mimo wszystko nie potrafię zapomnieć tego, że jako jedyny patrzył na mnie tak, jak mężczyzna powinien patrzeć na kobietę. Nie potrafię zapomnieć chwil, gdy czułam, że jestem warta tego, by na mnie patrzeć, by mnie podziwiać. Jakbym była najpiękniejszym skarbem tego świata. Nie mogę zapomnieć, że nigdy wcześniej ani później nie byłam tak szczęśliwa. Nie mogę go nienawidzić, bo mimo wszystko nie umiem go nie kochać.

Uniosłam głowę i zdałam sobie sprawę, że odpłynęłam myślami. Niebo było ciemne, rozświetlane małymi punkcikami gwiazd. W listopadzie noc zapada szybko. Wyciągnęłam latarkę i oświetlając sobie drogę, cicho zeszłam z dachu kamienicy.

Jeszcze raz przeszłam przez rynek. Kocie łby lśniły od wilgoci. Zatrzymałam się przy piekarni i kupiłam sobie kilka ciastek. Idąc drogą, opróżniałam papierową torebkę, a gdy dotarłam na przystanek, była już pusta. Nie musiałam zbyt długo czekać na autobus. A jazda nim też nie trwała długo.

Wysiadłam w najbiedniejszej dzielnicy miasta. Wielu ludzi omija ją szerokim łukiem z obawą przed rabunkiem lub czymś gorszym. Ja znałam to miejsce – wychowałam się w tych bramach.

Tutaj go poznałam. Był ulicznym kieszonkowcem. Zawsze opanowany, pewny siebie i odważny. Nazywali go lisem. Nie był chytry, ale przebiegłe inteligentny. Wysoki brunet o podłużnej twarzy. Zniknął na wyspach na pół roku, później na rok, a potem zabrał mi brata i oboje rozplynęli się w powietrzu.

Dotarłam do centrum tej części osiedla. Poniemieckie budynki rozpadały się, gdzieś brakowało dachówek, po pustych ulicach toczyły się butelki po alkoholu, a pod moimi nogami przebiegł szczur. W słabym świetle lamp przyjrzałam się jednej z kamienic. Od sinobrazowej ściany już dawno odpadł

tynk, a okoliczna młodzież postanowiła wypróbować na niej farby w sprayu. Jedynie na drugim piętrze paliło się światło. Przeszłam przez ulicę.

Brama nie była zamknięta. Pchnęłam lekko furtkę, a ta otworzyła się z cichym skrzypnięciem. Na dziedzińcu było jeszcze ciemniej. Znałam to miejsce jak własną kieszeń, więc postanowiłam poczekać z wyjęciem latarki. W pewnym momencie poczułam, że grunt pod moimi nogami się zmienił. Z udeptanej, zmarzniętej ziemi przeszłam na wykafelkowany okrąg. Podobno kiedyś stała tu fontanna. Uniosłam głowę i dostrzegłam gwiazdy. Wypatrzyłam kilka, które potrafiłam nazwać, a świadomość tego, co robię, wywołała smutny uśmiech na mojej twarzy. Nagle mój wzrok przyciągnął ruch w bramie kamienicy.

W przejściu stały dwie wysokie postacie. Podeszłam do nich powoli, chcąc ocenić, z kim mam do czynienia. To nie jest bezpieczna dzielnica, szczególnie dla dziewczyny. Wyprostowałam ramiona, uniosłam brodę, serce przyspieszyło. Gdy byłam kilka kroków od nich, dostrzegłam szczegóły ich wyglądu, a gdy spojrzeli na siebie, latarnia oświetliła ich twarze. Łza spłynęła mi po policzku. Jeden z nich roześmiał się, widząc moją reakcję. Drugi ujął moją twarz w dłonie.

- Powiedz coś – wyszeptał.
- Wróciłeś.